NASZ PRZYJACIEL

Dodatek do „Głosu Wąbrzeskiego“

Nr. 29 | Wąbrzeźno, 18 lipca 1926 r. | Rok 3.

Ewangelja

św. Łukasza rozdz. 16, wiersz 1—9.

Wonczas powiedział Jezus uczniom Swoim tę powieść: Był niektóry człowiek bogaty, który miał włódarza, a ten był doniesion do niego jakoby rozproszył dobra jego. A wezwał go, i rzekł mu: Cóż to słyszę o tobie? Oddaj liczbę włódarstwa twojego, albowiem już włódarzyć nie będziesz mógł. I mówił włódarz sam w sobie: Cóż uczynię, gdyż Pan mój odejmuje ode mnie włódarstwo? Kopać nie mogę, żebrać się wstydzę. Wiem co uczynię: że gdy będę złożon z włódarstwa, przyjmą mnie do domów swoich. Wezwawszy tedy każdego z dłużników pana swego, mówił pierwszemu: Wieleś winien panu memu? A on odpowiedział: Sto bareł oliwy. I rzekł mu: Weźmij zapis twój, a siądź natychmiast, napisz pięćdziesiąt. Potem drugiemu rzekł: A ty wieleś winien? A on rzekł: Sto beczek pszenicy. I rzekł mu: Weźmij zapis, a napisz osiemdziesiąt. I pochwalił Pan włódarza niesprawiedliwości, iż roztropnie uczynił. Bo synowie tego świata roztropniejsi są w rodzaju swoim nad syny światłości. A ja wam powiadam: Czyńcie sobie przyjacioły z mamony niesprawiedliwości, aby gdy ustaniecie, przyjęli was do wiecznych przybytków.

Nauka z ewangelji.

Kim jest bogaty człowiek i jego włódarz?

Bogatym człowiekiem jest Pan Bóg, a włódarzem człowiek, któremu Bóg powierzył pod zarząd rozmaite dobra ciała i duszy, natury i łaski, jako to: pięć zmysłów, zdrowie, siły ciała, zręczność, moc i władzę nad drugimi, pamięć, rozum, wolną wolę, wiarę i dobre natchnienie i oświecenie, czas i sposobność do dobrego doczesne dobra itd. Tych rozmaitych dóbr nie daje nam Pan Bóg na własność, tylko na to, ażebyśmy niemi zarządzali i obracali je na chwałę Jego i bliźnich naszych zbawienie, i dlatego żąda on od nas jaknajściślejszego rachunku, jeżeli dóbr tych źle użyjemy, jeżeli dopuszczać się będziemy grzechów, pędzić przyjemne życie gorszyć i uciskać drugich.

W jakim celu powiedział Chrystus to podobieństwo?

Ażeby nas pobudzić do pełnienia uczynków miłosiernych, mianowicie do wspierania ubogich przez jałmużnę.

Jacy to są przyjaciele, których zjednywać sobie mamy przez jałmużnę?

Są to, jak uczy święty Ambroży, prócz ubogich, Święci Pańscy-Aniołowie, sam nawet Chrystus, gdyż co czynimy ubogim, to czynimy Chrystusowi. (Mat. 25). „Na lichwę daje Panu kto ma litość nad ubogim i nagrodę odda Mu“. (Przypowieści 19, 17). Ręce ubogiego, mówi święty Piotr Chryzolog, są rękoma Chrystusa Pana. Przez ręce ubogiego posyłamy nasze dobra do nieba, gdzie je po naszej śmierci napowrót znajdziemy: modlitwa ubogich i Świętych których sobie przez nie jako przyjaciół zjednywamy, sprawi u Boga z pewnością to, że da nam śmierć szczęśliwą.

Dlaczego chwali bogaty pan włódarza?

Chwali go z powodu jego rozsądku i przezorności, a nie dla jego niesprawiedliwości; dlatego też dodaje te słowa: synowie tego świata roztropniejsi są w rodzaju swoim nad syny światłości, t. j. pobożni, którzy starają się Bogu podobać i gromadzić skarby niebieskie.

Dlaczego Chrystus Pan nazywa bogactwo niesprawiedliwością?

1. Ponieważ często nabywamy i przychodzimy do niego w drodze niesprawiedliwości, 2. ponieważ niejednego człowieka pobudza to bogactwo do niesprawiedliwości, 3. ponieważ staje się ono często powodem rozrzutności i na złe bywa używane.



Piosnka wieśniaka.

Wesoły, szczęśliwy jestem w każdej porze,
Czy rolę zasiewam, czy też zbieram zboże,
Bo chociaż przy roli dosyć ciężka praca,
Lecz co w ziemię włożę, podwójnie mi zwraca.
Gdy niwa zasiana bujnym kłosem wschodzi,
Przyjaciół gromadka w pomoc mi przychodzi,
Każdy mi z ochotą pomaga jak może,
A kto tylko przejdzie, to powie: „Szczęść Boże!“
Więc składamy garście i wiążemy snopy,
A później liczymy na mendle i kopy.
Gdy zwożę pszeniczkę furą do stodoły,
Wtedy będzie dla mnie każdy dzień wesoły.
Później część jej zwiozę na białe galary,
Zawiozę na sprzedaż, jak mój ojciec stary,
Przywiozę pieniędzy, powrócę do chatki,
Siądę przy kominku obok dobrej matki,
Opowiadać będę jak to tam za rzeką,
Na lewo, na prawo, daleko, daleko!
Jacy to tam ludzie, jakie urodzaje,
Jakie przy dożynkach pieśni i zwyczaje...
Po powrocie zaraz w najpierwszą niedzielę,
Pójdę przed ołtarzem uklęknąć w kościele,
I składając dzięki w pobożnej piosence,
Będę Boga prosił, w górę wznosząc ręce,
By pobłogosławił łan potem zroszony,
Aby w roku przyszłym obfite dał plony.

Święty Wincenty a Paulo.

na dzień 19 lipca.

Na początku wieku siedemnastego można było często spotkać na ulicach miasta Paryża kapłana, którego obojętnie mijał nieznajomy. Jego bowiem proste ubranie, sutanna wyszarzała, a nawet wyraz twarzy, na pierwszy rzut oka pospolity, nie zwracały niczyjej na siebie uwagi. Nazywano go poprostu księdzem Wincentym.

A jednak pokorny ten kapłan był to jeden z tych niezwykłych mężów, których oglądał wiek siedemnasty, tak bogaty w wielkich geniuszów i wielkich Świętych, jeden z tych mężów, o jakich nie marzył świat starożytny, a chrześciański wydał ich niewielu.

To — święty Wincenty á Paulo.

Urodził się ten wielki dobroczyńca cierpiącej ludzkości 24 kwietnia 1576 roku w Pony, w wiosce, położonej w departamencie les Landes, w okolicy Dax, jako syn ubogich wieśniaków francuskich. Ukończywszy nauki w Dax i w Tuluzie, otrzymał święcenia kapłańskie w dniu 23 września 1600 roku. Już jako kapłan pojechał do Marsylji, aby odebrać należący się mu spadek, gdzie na okręcie wzięty został przez Turków do niewoli i sprzedany do Afryki. Tam X. Wincenty dostał się w niewolę do domu pewnego Francuza w Tunisie, który porzucił wiarę katolicką, a został wyznawcą zasad Mahometa. Przykładem i wymową udało się Wincentemu nawrócić pana swego, z którym potajemnie opuścił mahometańskie Tunis, przeprawiając się przez morze na lichej łodze. Tak przybył najpierw do Awinionu, następnie był w Rzymie. Gdy powrócił do Francji, chciał protektor jego, książę d' Efernon, koniecznie starać się dlań o biskupstwo, na co św. Wincenty się nie zgodził. Zostawszy członkiem III Zakonu św. Franciszka, wziął sobie św. Wincenty za przykład założyciela tego zakonu, św. Franciszka, a gorliwem staraniem jego życia było dorównać mu w pokorze i często powtarzał, iż nie godzien jest niczego więcej, jak umrzeć za miastem pod krzakami. Sława świątobliwego życia X. Wincentego doszła nawet do uszu króla, który zamianował go swym jałmużnikiem.

Bardzo leżała św. Wincentemu na sercu dola więźniów i galerników, którzy, przykuci do wioseł, musieli całe życie nieludzko pracować na statkach. Odwiedzał ich, przebywał pomiędzy nimi, aby ich pocieszać i zbłąkane ich dusze nawrócić do Boga. Papież Klemens XII stwierdził w buli kanonizacyjnej fakt, że św. Wincenty á Paulo za przykładem św. Rajmunda Nonnata dobrowolnie włożył na nogi więzienne kajdany, kiedy widział, jak jeden z więźniów upadał pod ich ciężarem, a nie było innego sposobu ulżenia skazańcowi. Dla ułatwienia tym nieszczęśliwym słuchania słowa Bożego, oraz dla innych wysokich zamiarów chrześciańskich założył św. Wincenty osobne zgromadzenie XX Misyonarzy, którego członkowie i teraz jeszcze wyjeżdżają w dalekie kraje pomiędzy pogan, głosząc Ewangielię świętą tam, dokąd nauka wiary jeszcze nie dotarła. Dalej zajmują się oni podniesieniem duchowieństwa katolickiego przez prowadzenie gimnazjów katolickich i seminarjów duchownych i udzielanie księżom rekolekcji. Szczególniejszą opieką otoczyli nareszcie biedniejszy lud, urządzając dlań rekolekcje, misje i. t. d., stosując się do słów Zbawiciela: „Posłałem was, abyście opowiadali Ewangelię ubogim“.

Nie dosyć na tem jeszcze. Św. Wincenty zakładał schroniska dla sierot i podrzutków, widziano go nierzadko na ulicach, jak pod płaszcz swój tulił znalezione maleństwa i odprowadzał je do przytułków. Za jego też staraniem powstawały schroniska dla starców i kalek, stowarzyszenia dla rękodzielników i ubogich, wstydzących się żebrać publicznie. Zwoływał ów zacny kapłan konferencje, urządzał ćwiczenia duchowne dla księży, a dla opieki nad chorymi i podrzutkami ufundował żeński zakład Cór, czyli Siòstr Miłosierdzia, znanych pod nazwą „Szarytek“. Zgromadzenie to przetrwało wieki i rozwija się coraz więcej, a wstępują do niego tak dziewice z pod strzech wieśniaczych, jak i z pałaców.

Sam sobie św. Wincenty nie szczędził żadnych umartwień, a życiem czystem jak kryształ, a jak słońce jaśniejącem cnotami, przygotowywał się ustawicznie do śmierci. Pan Bóg pozwolił mu doczekać się sędziwej starości, gdyż umarł w 85 roku życia. Organizm tego świątobliwego kapłana musiał być bardzo silnym, jeśli mógł znieść tyle trudów, prac i niewygód; miał jednakże dwie wady: najpierw błąd w obiegu krwi, który objawiał się częstymi atakami gwałtownej febry, powtóre miał nogi niesłychanie wrażliwe, które za najmniejszem zmęczeniem nabrzmiewały i pokrywały się łatwo wrzodami. Słabość ta trwała długie lata i nie opuściła go aż do śmierci.

W r. 1660 dolegliwości wzmogły się tak dalece, że już tylko o kulach mógł udawać się do kaplicy, aby wysłuchać Mszy św. i przyjąć Komunię świętą. Stan ten pogarszał się wolno ale

(Ciąg dalszy na 4-tej stronie.)

Szkielet na Lesznie.

Powieść

przez

6) **Walerego Przyborowskiego**.

(Ciąg dalszy).

W wielu miejscach było one podarte i strzępy jego zwieszały się złowrogo. Młody doktór najprzód zwrócił uwagę na ten szczególny, monotonny, jednostajny szelest począł szukać jego przyczyny, zwłaszcza, że uwieszony u jego ramion Heliglas szeptał:

— Szeleści! szeleści! szeleści!

Powtarzał te wyrazy ciągle, na pół nieprzytomnie i drżał, jak gdyby straszna jakaś trwoga go ogarniała.

Doktór przekonał się wkrótce, że przyczyną tego szczególnego istotnie szelestu, był przeciąg powietrza, które dostając się przez dziurę, wybitą w jednej z szyb, przez otwarcie drzwi wywiązywało cug, poruszający obiciem, ponieważ był dziwnie spokojny, baczny na wszystko, że wreszcie cała ta przygoda poczynała go żywo interesować, spostrzegł więc wkrótce, że owa dziura w oknie ma szczególny wygląd. Była okrągła, jak gdyby ktoś umyślnie i bardzo starannie ją wyciął, lub też jak gdyby jakiś przedmiot okrągły przebił ją z taką siłą, że szyba nie pękła. Takim przedmiotem nie mogło być nic innego jak wystrzelona kula. Ponieważ był dość blisko okna, mógł się więc łatwo przekonać, że stało się to bardzo dawno, gdyż wycięte szło nie zachowało nigdzie metalicznego blasku, jaki musiałoby mieć, gdyby szybę przedziurawiono w ostatnich czasach.

Uwagę tę jednak zachował dla siebie i stał nieruchomy i milczący z przyczepionym u swego ramienia Heliglasem, rozglądając się bacznie po pokoiku. W kącie, wprost okna wznosił się na pół zrujnowany kominek, taki sam jak w innych pokojach, z czarnego marmuru, przedstawiający dwie karyatydy, wcale dobrze wyrzeźbione, dźwigające na swych głowach poprzednią taflę kominka. Karyatydy były potłuczone, w wielu miejscach marmur odpadł i przeglądało podmurowanie wewnętrzne z cegieł i wapna. W kominku widać jeszcze było kawałki węgla, grubą warstwą kurzu pokryte.

Sufit niemniej był zrujnowany. Woda deszczowa, przeciekając przez dziurawy dach, potworzyła szerokie, brudne plamy na nim, a w wielu miejscach tynk zewnętrzny odpadł i widać było trzcinowanie, które połamane, zwieszało się na dół. Mimo to jednak dostrzedz można było na środku sufitu wśród okrągłej złoconej ramy, wcale dobrą, w miękkim stylu francuskim z przeszłego wieku wykonaną malaturę, przedstawiającą miłostki łabędzia i Ledy. Wszystko to było mocno zniszczone, głowa Ledy gdzieś przepadła; widać były tylko jej nogi pulchne i nagie i przytulonego do nich białego łabędzia.

Zresztą nic więcej tu nie było, prócz jakichś połamanych szczątków drewnianych, leżących w kącie wśród gruzu, których jednak z powodu ciemności włóczących się w tej stronie pokoju, doktór rozpoznać nie mógł. Za to posadzka, do połowy wyjęta, była prześliczna, z dębowego drzewa, układana we wzorzysty deseń arabski. Wszystko to doktór obejrzał o wiele szybciej, niż my tu opisać mogliśmy.

Właśnie Goldsing z nieodłącznem swem cygarem w ustach, które palić sie nie chciało, posunąwszy się na środek pokoju, rzekł:

— Enfin, jesteśmy u celu. „Hier liegt die Katze“... ma foi... słowo honoru.... szkielet sobie, ot... taki zwyczajny... i czego oni krzyczą?.. po co oni krzyczą?

I zwracając się do swych towarzyszy począł zabawnie ręką machać i głośno się śmiać. Doktór powcli, ciągnąc niejako za sobą Heliglasa, który wciąż nieprzytomnie powtarzał:

— Szeleści! szeleści!

Zbliżył się do miejsca, yWrwana posadzka i kupka ziemi, zdradzała tajemniczy grób szkieletu.

Jakoż leżał on tam, ten szkielet odkryty całkowicie, zapewnie w tej samej pozycji, w jakiej był znaleziony. Leżał na wznak wyciągnięty z rękami do boków przyłożonemi, czarny, suchy, bez żadnych innych śladów. Na głowie tylko, na czaszce czerniącej wypadłemi oczami zdawało się doktorowi dostrzegać szczątki jasnych, złocistych zapewnie niegdyś włosów. Nie miał zresztą czasu zbyt starannie obejrzeć szkieletu, gdyż Heliglas ciągnął ich obu z reporterem i wołał:

— Chodźmy ztąd! chodźmy ztąd:

Wyglądał tak strasznie, że Goldsing wziął go pod rękę i wyprowadził z pokoju, w którym doktór został sam.

Przez chwilę stał, nadsłuchując oddalających się kroków swych towarzyszy, poczem nagle, jakby ulegając jakiejś myśli gwałtownej, ukląkł nad dołem w którym leżał szkielet i począł go bacznie oglądać.

— Hm! — mruknął — dziwne, dziwne!

Dotykał się palcami kości, poczem przeszedłszy do głowy ruchem zręcznym podniósł ją do góry. Istotnie czaszka miała tu i ówdzie włosy włosy zapewnie bardzo długie, bo ślady ich były na wilgotnej ziemi. Obejrzał starannie czaszkę i musiał coś na niej dostrzeć, bo nagle wstał wyprostował się, otarł pot z czoła i zbliżył się do okna. Tu przypatrzył się otworowi w szybie szepnął:

— To nie ulega kwestji, że ta kobieta padła ofiarą zbrodni.

Ale nagle usłyszał zbliżające się czyjeś kroki w sąsidnim pokoju. Szybko więc wyszedł i spostrzegł Golsinga.

— Ma foi, wracam po pana.., bo najprzód... słowo honoru, lękam się. czy panu ten... szkielet... głowy nie urwał, bo może to jest upiór, a potem,.. policjanci dopytują się pilnie... gdzie.. trzeci!

— Idę.

Na podwórzu zastali Heliglasa w najlepszym już humorze, rozprawiającego z policjantami i częstującego ich cukierkami. Spostrzegłszy doktora podbiegł ku niemu i wziąwszy go pod ramię, począł szybko mówić:

stale tak że już 27 września tego samego roku umarł po łagodnem i krótkiem konaniu, siedząc w krześle, ubrany tak, jak bywał codziennie. Śmierć jego przypadła po godz. 4. rano, a była to godzina uświęcona przez św. Wincentego, o której wstawał co^dziennie od pięćdziesięciu lat. I w chwili zgonu więc pozostał jeszcze wierny regule, bo znowu o wpół do piątej rano stanął przed Bogiem, ale tym razem, by od niego już odebrać złotą, wiekuistą koronę za swe świątobliwe życie, w którem szczególnie naśladował Boskiego Mistrza heroicznemi cnotami pokory i miłosierdzia i gorliwości o zbawienie dusz.

Serce św. Wincentego umieszczono w osobnym relikwiarzu, mającym kształt serca, ciało zaś jego pochowano tym razem w grobowcach kościoła świętego Łazarza, gdzie miało spoczynek tak długo, ażby nie było dozwolonem umieścić je na ołtarzach ku czci publicznej.

Pięćdziesiąt lat później po zbadaniu jak najsumienniejszem szczegółów życia św. Wincentego i licznych cudów, jakie za jego przyczyną się działy ulegając ogólnym prośbom, papież Pius V zaliczył uroczyście X Wincentego w poczet Błogosławionych 14. lipca 1729 r.

Trzy uderzenia dzwonu.

(Elizy Orzeszkowej)

Dwór to był wiejski nie wspaniały, nie rozległy, tylko w lipy rozłożyste i w topole strzeliste bogaty, barwami kwiatów niewymyślnych świecący przed domem, którego białe ściany nie wysoko wznosiły się nad ziemią, okryte dachem może i nie ze słomy uczynionym, ale do strzechy słomianej podobnym.

Dzień letni, pogodny, skończył się przed chwilą, słońca na niebie już nie było i tam, gdzie ostatni rąb ognistej tarczy jego zniknął, łagodna zorza wieczorna zalała skłon nieba bladem złotem i jasną purpurą. Od ziemi szły w powietrze pachnące oddechy kwiatów i wstępował w nie zmierzch powolny, nad którym w górze zaświeciło trochę drobnych gwiazd. Ku górze wzbijały się w zmierzchu strzeliste linje topoli i widać było na tle złotej zorzy, równie jak one ciemną i cięższą, niż one dzwonnicę kościelną.

Ganek domu pełen był niewyraźnych postaci ludzkich. W zmierzchu i wśród gęsto po słupach ganku wijących się pnączy, rysy i kształty ich stawały się niewyraźne i zmącone, ale widać było głowy ciemne, płowe, siwe, ruchy ramion silnych, wątłych, prędkich, powolnych i słychać było rozmawiające głosy męskie, niewieście, młodzieńcze. Siedziały niewyraźne postacie te na ławkach, u samej prawie ziemi, stały u słupów, mając zielonych pnączy gałęzie na głowach i ramionach, przybliżały się ku sobie i od siebie oddalały, znikały w głębi domu i powracały znowu.

Głosy ich zniżały się, przyciszały, spadały do cichego szmeru. Nadeszła pora milczenia natury, wyraźniej na tle zorzy strzelistości topoli, smętnego dogorywania blasków dnia...

Zniżony głos kobiecy na ganku przemówił:

— Zaraz na Anioł Pański zadzwonią...

Inny męski monotonny podjął:

— W Polsce na Anioł Pański dzwonią inaczej, niż na szerokim świecie...

Ktoś dźwięcznie zagadnął:

— Te trzy uderzenia dzwonu?

Kto inny odpowiedział!

Te, pomiędzy trzema strofami, do modlitwy wzywającemi; trzykroć powtórzone trzy uderzenia dzwonu...

— Takie przewlekłe, głębokie i dźwięczne...

— Trzy uderzenia dzwonu za tych...

— Za kogo?

— Gdzieindziej uderzeń tych niema...

— Tych trzech uderzeń kościelnych dzwonu...

— Bo modlitw niema za tych...

— Za kogo?

— Co piekło na ziemi przebyli...

— Za tych są te trzy uderzenia...

— Te, pomiędzy trzema strofami, do modlitw wzywającemi, trzy kroć powtórzone trzy uderzenia dzwonu....

ROZMAITOŚCI.

Oryginalna podróż poślubna.

W Amsterdamie wydarzyła się onegdaj historja, która brzmi tak fantastycznie, że trudnoby w nią było uwierzyć, gdyby nie to że urzędowe komunikaty potwierdzają opis tego wypadku.

Policjant de Vries przeprowadzał więźnia W. z aresztu śledczego do sądu, gdzie miał być przesłuchiwany na nowo. (Budynek sądowy mieści się w sąsiedniej ulicy). Zaledwie więzień wyszedł z bramy, uskoczył zręcz. w bok i wsiadł do auta które widocznie czekało tam na niego bo ruszyło zaraz naprzód w szalonym pośpiechu. Policjant de Vries był o tyle przytomny, że w ostatniej chwili pochwycił więźnia za połę marynarki i nie puszczając go, znalazł się również w wozie. Lecz pozycja jego nie bardzo była wygodna. Stał na stopniach wozu, a towarzysze zbiegłego więźnia walili go po głowie i twarzy, usiłując zepchnąć. De Vries zawołoł w stronę przechodniów, aby zaalarmowali policję. Auto pędziło naprzód, przechodnie uciekali z drogi. Nareszcie zjawił się jakiś policjant i zmiarkowawszy co się dzieje rzucił się w pogoń. Wskoczył mianowicie do nadjeżdżającego auta. W aucie tem siedziała para nowożeńców wracająca z kościoła do domu. Wbrew woli zrobili teraz podróż poślubną w szalonym tempie przez ul. Amsterd. aż za rogatki miejskie. W międzyczasie towarzysze zbiegłego więźnia pozbyli się de Vriesa. Jeden z nich uderzył go tak silnie mie dzy oczy, Vries oblany krwią runął na ziemię. Podnieśli go potem przechodnie ciężko rannego bo ciało jego wlokło się jeszcze za wozem kawał drogi. (Odwieziono go potem do szpitala). Auto ze zbiegłym więźniem pędziło nieswtrzymanie dalej. Najechali na latarnię i pomknęli dalej; przejechali psa, zmiażdżyli jakiś wóz, który nie usuwał się na czas z drogi nikt nie zdołał ich wstrzymać.

Auto z nowożeńcami pędziło za nimi, lecz nie mogło dogonić, pomimo że siedzący w tem aucie policjant kazał szoferowi pędzić z największą szybkością. Za rogatkami miejskiemi, na drodze wiodącej do Utrechtu zbiegowie zniknęli z oczu goniących za nimi. Z policji wysłano telegraficznie listy gończe za zbiegiem, alarmując policję wszystkich sasiednich miejscowości.

Nad wiecz. nadeszła z Utrecht wiadomość, że policja tamt. zatrzymała podejrzanych zbiegów.

Jak młoda para nowożeńców odniosła się do tej sprawy, w którą wmieszana została wbrew swej woli, o tem gazety holenderskie nic nie piszą